

pochmurno, więc i gwiazdy nie świeciły. Dwaj dozorczy stali przy koniach i podochoćeni gwarzyli wesoło.

— Hej, bracia — zawołał Krystyn. Już jadę z ową panią. Pozwólcie mi pożegnać się z marlarzem.

— A żegnajcie się, ile wam się podoba, to nam nic nie szkodzi.

Krystyn wszedł do wozu.

Tymczasem i Gertruda do powozu wsiadła i zawołała głośno:

— Gdzież ten człowiek, co prosił by go zabrać?

— Hej, Krystyn, słyszcicie, pani się o was pyta — zawołał jeden z dozorców i pięścią we wóz uderzył. Odjedźcie was, wyłaźcie.

Jakoż za chwilę wyszedł z wozu człowiek otulony płaszczem Krystyna, kapelusz miał nasunięty na oczy. Szedł krokiem chwiejnym, nieśmiało.

— Patrzcie no, rzekł jeden z dozorców, a toć on beczy za tym waryatem, jakby ojciec za synem. Ledwie idzie z żalu.

— Przyprowadź go prędko, rzekła Gertruda do stangreta, ja trzymam konie.

Stangret zeskoczył z kozła, pociągnął z sobą otuloną postać, umieścił w siedzeniu obok Gertrudy, wskoczył na kozioł, zaciął konie i ruszył z miejsca wyciągniętym kłusem.

— A to ci go honoruje, obok siebie posadziła.

— Ot baba! przez ciekawość. Pewnie go się będzie o nas dopytywała i o naszego chorego. Ale czas jechać!

Już cić, cóżby nie. Późno!

Trzeci dozorca i furman wrócili szynkowni wszyscy usiedli na swoich miejscach.

— Zapalcie no latarnię we wozie, ciemno strasznie.

Jeden z towarzyszy zaświecił, latarnia oblała światłem wnętrze wozu. Chory siedział w kącie tak zakryty, że go widać nie było.

— Może on się udusił z żalu za swoim Krystynem — rzekł jeden z dozorców.

— A może. Ej, co tam, jazda!

Dali znak, wóz ruszył z miejsca. Jada.

Chory leżał jak kamień.

— Cóż u dyabła? Dusza z niego wylazła? — zawołał, śmiejąc się, jeden z towarzyszy i ściągnął płaszcz z chorego.

— O dla Boga!

— Hej! stój! Niech stanie. Nawrócić, gonić.

— A ty złodzieju!

— Ty pokrako!

— I czemuż się tak gniewacie przyjaciele? — rzekł spokojnie Krystyn. Gonić nie ma po co, bo nie dogonisz. Konie mają lepsze, a odjechali wcześniej. Zdajcie się już na wolę boską. Powieście, żeście przywieźli tego, kogo wam dali. Niech wam się zdaje, że mnie wam oddali jako chorego. A bijatyce dajcie spokój, bo jak mnie pobitego przywieziecie, to będzie gorzej dla was, bo się niczem wykręcić nie będziecie mogli.

— A bodaj was pokreśliło! To smyk. Co tu robić?

— Cóż? udajmy, że o niczem nie wiemy i tyle.

— Ale! niby uwierzą!

— Jakby co złego było dla was, macie mnie w ręce, ja wam ręczę, że was nagroda nie minie.

— Chyba! Niech i tak. A cóż? Nie ma co? Niech jada. A to psiakrew mądry smyk!

### Na tułactwie.

Na piaszczystym wybrzeżu morskiem pusto do koła, tylko niekiedy ptak od strony lądu nadleci, zobaczy morze, przeleknie się, jeszcze silniej rozepnie skrzydła, by wrócić skąd przybył. Daleko szarzeje wśród lichej drzewiny uboga wioska rybacka.

Fale morskie zapędzają się na piaszczyste ławy wybrzeża, splukują je, rozrywają i uciekają z tą marną zdobyczą, a w zamian rzucają na ląd zbrukane piany, niekiedy muszlę rozbitą, lub zbłąkane żyjątka.

Ponure chmury snują się po niebie żałobną

gromadą i dokoła tak jakoś ławo, tak smętnie, jakby to było cmentarzysko nędzarzy.

Na wyciągniętej łodzi, do góry dnem wywróconej, siedzi Hania i patrzy w dal morską, w kłębuszące się fale, bez ruchu, posągowa, kamienna. Widzi to miejsce na morzu, na którym statek się rozbił, w którym straciła Ryszarda. Siega myślą i żałobą swojego serca aż do dna morza, gdzie jej Ryszard spoczął na wieki. Nie dawno tak była szczęśliwą!

Z jakąż to radością siadali oboje na statek, który ich miał zawieść do szczęścia, a dał Ryszardowi śmierć, jej wieczną żałobę. Dlaczego nie zginęła z nim razem? Biedna Hania. Bywają nieszczęścia groźniejsze od śmierci; dla niej śmierć byłaby szczęściem, a jednak żyć musi. Wola Boża! Od dziecka przywykła ulegać jej, wielbić ją, więc Bogu w ofierze składa cierpienia swoje, żałobę swoją. Modliła się dźwiga ze wszelkich upadków ducha, dźwiga i z rozpacz; to też modli się nieszczęśliwa nie słowem, lecz łzami, modli się duszą całą.



Na wyciągniętej łodzi, do góry dnem wywróconej, siedzi Hania i patrzy w dal morską.

Zbliżał się powoli wysoki, smukły, młody człowiek, stanął z boku i patrzył na zatopioną w modlitwie, a patrzył tak miłościwie, tak rzewnie, jakby i z jego piersi dobywała się modlitwa, ale nie do Boga, lecz do niej.

Wreszcie Hania podniosła się z łodzi, spojrzała jeszcze ku morzu i zwróciła się ku wiosce. Młody człowiek powitał ją ukłonem.

— A, to wy panie Jakóbie.

— Tak panno Haniu. Byłem niespokojny, czy się pannie Hani nie stało co złego. Rodzice także się niepokoją.

— Poczciwi ludzie, niech Bóg wynagrodzi to zacne serce wasze dla mnie nieszczęśliwej.

— Panno Haniu! Nie trzeba wciąż płakać. Wola boska. Dotknęło cię nieszczęście, ale Bóg pocieszy. Nie gardź moim sercem, nie gardź moją miłością. Jabym gwiazdy niebu wyrwał, żeby ci je ścielić pod nogi. Jabym wylupił wszystkie skały koralowe, żeby ci z nich pałac zbudować. Ot, ze mnie tylko prosty rybak, ale i królewskie serce nie może bardziej kochać, niż ja kocham ciebie. Zostań z nami, bądź moją! Klnę się na Boga, że przy mnie nie doznasz biedy. Nie braknie nam

chleba, nie braknie ci wygody w życiu. Ja mam ręce zdrowe, a na rybactwie się znam, o znam jak żaden inny, niech cała wyspa poświadczy. No, usłuchaj mnie panno Haniu.

— Czemu mnie wciąż nazywasz panną Hanią. Jakóbie, skoro wiesz, że miałam męża, że go mam, bo chociaż jest tam, na dnie morza, dla mnie on jakby żywy, a żyje w moim sercu i wiecznie tam żyć będzie.

— Grzech to, grzech wielki, że idziesz na przekór woli boskiej. Co Bóg zabrał, tego już z ręki boskiej wydierać nie wolno. Tyś dla mnie panną Hanią, bo ja ciebie tak kocham, że aż się boję, żebym tą miłością nie bluźnił. Ja na ciebie Haniu patrzę, jak na świętość! Tyś mi taka czysta, taka jasna, taka niebiańska, jak Przenajświętsza Królowa morza. Sam Bóg chciał, żebyś moją była. Jak wasza łódź zatonięła, ja wtedy puściłem się wpław od brzegu, żeby kogo uratować i kiedym rozbijał piersią fale, nagle z pod wody prąd wyrzucił ciebie, tak, żeś mi w ręce sama wpadła.

Porwałem cię i za łaską Boską dopłynąłem z tobą do tego brzegu. Łódzie popłynęły dalej do stałego lądu, a do naszej wysepki nikt się nie kwapił. No widzisz, że cię mam z woli Bożej.

— Mój pocziwy Jakóbie! Cenię ja bardzo twoje serce zacne i jeżeli potrzebne ci serce siostry, to je u mnie znajdziesz, ale przysięgi nie złamię, a przysięgam dochować wiary małżeńskiej nawet poza grobem. Nie chcę dłużej wyrządzać ci przykrości, dlatego opuszczę was i pójdę w świat szukać chleba i spokoju. A jeżeli mnie prawdziwie kochasz Jakóbie, to bądź mi tylko bratem i jako brat dobry nie powtarzaj mi już tego, co mi przykrość sprawia.

Jakób pochylił głowę, nie nie odpowiedział, ale na twarzy jego rozlał się taki wyraz wewnętrznej walki, że ktoby mu się przyjrzał w tej chwili, niebyłby wierzył, że to tensam, co przed chwilą tak miłościwie przemawiał. Twarz mu się zasepiła, w oczach kipiała gorączka uczuć tak płomienych, jak gdyby chciały ogarnąć wszystko zniszczeniem pożaru. Szedł obok Hani i nie mówił nic, jeno niekiedy skrzywiły mu się wargi, jakby połamane strasznym bólem, kurczyły mu się pięści, nogi pod nim chwiały i oddech targał mu się w piersi.

Już przyszli do wsi. Pośrodku było domostwo porządniejsze i bogatsze od innych; znać tu było dostatek, chociaż skromny, ot zwyczajnie rybaki na małym wysepce.

Weszli do izby. Już było zastawione do obiadu. Stary rybak Tomasz, ojciec Jakóba siedział już za stołem, a jego żona rozdzielała strawę na skromnych talerzach.

— W sam czas, bośmy już głodni — rzekł Tomasz.

— Ej, znowu Hania zapłakana, znowu smutna. Uspokój się moje dziecko, uspokój. Mamy jedno dziecko, jeśli niem być zechcesz.

Zasiedli do stołu, Tomaszowa przygadywała serdecznie, Tomasz wtórował żonie i tak jakoś skończył się skromny obiad.

Gdy wstali od stołu, Hania uściśkała pocziwych rybaków, ze łzami w oczach dziękowała im za ocalenie życia, za przytułek, za rodzicielskie serce, ale stanowczo oświadczyła, że ich porzucić musi, bo miłości do Ryszarda nie pozbędzie się nigdy i nieczyją żoną nigdy już nie zostanie. Zasmucili się Tomaszowie, pokiwali głowami.

— Ha, we wszystkim wola Boża, — rzekł Tomasz.

— Ciężko nam będzie rozstać się z tobą — odezwała się Tomaszowa.

— A ciebie panie Jakóbie poproszę jeszcze o ostatnią braterską przysługę, abyś mnie jutro dowiózł na łodzi do stałego lądu, naprzeciw do miasteczka.

To rzekłszy, Hania uściśkała raz jeszcze pocziwych rybaków.

C. d. n.